

Kronika

tygodniowa

Starym, poświęconym tradycją zwyczajem urzęda Kraków pierwszą w roku wycieczkę w drugie święto Wielkiejnocy na Zwierzyniec (Emaus), dzień później na Podgórze (Rakawka), poczem następuje pauza, która trwa aż do uroczystości św. Stanisława. W dniu tym i przez całą oktawę spieszą Krakowianie na Skaikę.

Wszystkie te wycieczki odbywa się plechotą, lub, co najwyżej tramwajem (o ile się komu nie spieszy...), pierwszą natomiast ekskursją w większym stylu jest pielgrzymka na Bielany w oba dni Zielonych Świąt. Można się tam dostać łądem lub wodą, komunikacja powietrzna nie jest jeszcze uregulowana.

Niestety, w bieżącym roku trzeba było z tej rozrywki zrezygnować w myśl rozporządzenia władz, które zakazały urzędowania bielańskiego obchodu ze względu na panujące w kraju choroby zakaźne. Pobożni i zakochani niewiele sobie przecież robili z zakazów, pierwszych nęciły nabożeństwa i cisza pustelni, drugich gęstwina lesna, której nie miała czasu dosięgnąć niszcząca wszystko ręka władz austriackich, rąbiąca wszystko na prawo i lewo (Sikornik, lasy koło „Czarnego ostia” i t. d.).

Kronikarz, aczkolwiek szanuje tradycję, przestrzega przecież rozporządzeń przez władze wydanych, zdecydowany był zatem przez oba dni Zielonych Świąt siedzieć w Krakowie i, co najwyżej wziąć udział w Zjeździe polskich kamieniczników lub chrześcijańskich majstrów szewskich.

Na pierwszy, jako dziedzicznie żadną nieruchomością nie obciążonego, nie zaproszono go jednak, na drugim nie pozwolił mu się pokazać instynkt samozachowawczy, który mówił, że tam może spotkać swego nadwornego dostawcę, a ten gotów przypomnieć, że rachunek ostatni odtąd nie wyrównany.

Na szczęście wpadł mu w ręce nr. 131 *Kurjera codziennego* z dnia 14 maja b. r., w którym zapowiedziano ni mniej, ni więcej tylko wycieczkę... w rakiecie na księżyc.

Coś podobnego urządził już raz J. Verne, ale tylko na kartach swej powieści, obecnie problem ten postanowił zrealizować jakiś amerykański kapitan, pan *Clau-de Collins*. Celem podróży Mars lub Księżyc, stosownie do tego, jaką drogą obierze rakieta, zaczęta do wzięcia naziału towarzystwo dam.

Na amerykańskich uczonych i prorokach mieliśmy sposobność zawiesić się już nieraz, że wspomnę tylko przepowiednię pana Porty o końcu świata (zamiast być odłożony, dopóki Niemcy nie podpiszą traktatu pokojowego... przyp. zecera), lub obietnicę panny Molvie, że odtąd będą się rodzić w retortach same przedstawicielki płci nadobnej, a rodzaj męski zostanie wykreślony z życia i gramatyki — mimo to kronikarz wiadomość ową wziął na seryo, zwłaszcza iż nie była zamieszczoną w „Kąciku humorystycznym”, lecz w poważnej części tego dziennika, między wiadomościami politycznymi. Zaczął zatem przygotowywać się do drogi, która odtąd odbywała jedynie pani Helena Smith, skie-pówka z Genewy, ale w spirytystycznym seansie, to jest duchem, gdy tymczasem ciało pozostało na ziemi. A duch w takim wypadku, jak wiadomo, nie potrzebuje nawet rakiety, lecz na własnych skrzydłach, o ile je posiada.

Podróż jednak ducha razem z ciałem, to coś bardziej sensacyjnego, niż... wspomnienia zachloroformowanej marchewki lub testament zakochanego pasternaka...

Kronikarz zatem gotów był już do drogi, gdy w ostatniej chwili, czytając raz jeszcze wspomniany artykuł, spostrzegł, że pan kapitan *ma zamiar* przysiąść dopiero do budowy owej rakiety, co może być uważane za odłożenie jej w nieskończoność.

Zapowiedź: *ma zamiar przysiąść*, to zupełnie to samo, co ogłoszenie owego „profesora czarnej magii”, który oświadczył, że wobec publiczności *spróbuje* wejść do zwykłej butelki od wina. Ciekawych, bo gdzież ich nie brak, zebrało się tyle, iż sala nie mogła ich pomieścić. Pan „profesor” wpadł na estradę z butelką w dłoni, pokazał ją zebranym i rzekł: „Próbowałem... niestety nie mogę się tam zmieścić!... poczem ukłonił się pięknie i udał do najspokojniejszej.

Jedni z wziętych na kawał łyrowali się, inni reflektowali ich, że on przecież wyraźnie zaznaczył, iż *spróbuje*, a coż winien, że się nie udało!

Taksamo i pan kapitan Collins *zamierza* dopiero, nie zatem działnego, że kronikarz jest w Krakowie,

a nie na księżycu, Zielone Świąta spędził zaś w zaciszu wygasłego domowego ogniska, a to z powodów, o których poniżej.

W każdym razie obiecuje, iż, o ile tylko trafi się okazja, będzie jednym z pierwszych, zgłaszających się do wzięcia udziału w podróży, wszystko jedno, na Księżyc czy na Marsa, aby móżdż stamtąd służył P. T. Czytelnikom korespondencyami i depeszami na drucie i bez drutu.

Nie udało się zatem kronikarzowi tak piękna i pouczająca wycieczka, ale to go bynajmniej nie zraża. Wszak i jednemu z krakowskich pism nie udało się zdobyć Kijowa w dniu 30. kwietnia b. r. Doniosło o tem na podstawie informacji swego „specjalnego korespondenta”, a potem się pokazało, że zasza drobna pomyłka.

Czytaliśmy tam, że dnia 30. kwietnia b. r. wkroczyły polskie wojska do zdobytego Kijowa, a na ich czele wyjechał do miasta Naczelnik Piłsudski przez Złotą Bramę i uderzył w nią turecką szablą.

Kijow, co prawda, zdobyto tam dopiero w tydzień potem, tamta zaś notatka odnosiła się do roku 1017 i do króla Bolesława Chrobrego.

W dzisiejszych, nerwowych czasach pośpiech tego rodzaju jest zrozumiały. Nauczylamy się od Anglików, że „czas to pieniądź”, choć czasu mamy dość, a kto go nie ma, może egzemplarz nabyć za markę, pieniądzy nam natomiast stale brak.

Nie tylko jednak spieszą się nasze pisma. Pośpiech cechuje też i zarządzenia władz, jak się o tem można przekonać z rozporządzenia w sprawie mieszkaniowej, wydanego przez ministerstwo zdrowia dla Krakowa w maju, na podstawie ustawy z dnia... 27 listopada 1920 roku.

A teraz wytłumaczenie, dlaczego kronikarz w Zielone Świąta siedział w domu.

Nasz Sejm konstytucyjny, choć jeszcze konstytucyjny nie uczwał, bo mu się widocznie nie spieszy, wydaje natomiast najroznorodniejsze ustawy, między innymi jedną, normującą czas dziennej pracy, drugą o spoczynku niedzielnym, a trzecią w sprawie ograniczenia sprzedaży napojów wysokowych. Te trzy ustawy szły ze sobą w ścisłym związku. Nie wolno pracować dłużej, jak osm godzin dziennie, aby się zbyt nie zmęczyć, w niedzielę zaś i święto musi się odpoczywać, aby nabrać sił do dalszej... pracy.

Jak odtąd, świętowanymi w ten sposób, że n. p. w niedzielę czy to urzędnik, czy robotnik siedzi rano do kościoła, potem na przechadzkę, wreszcie na fiaki.

Pojęcie niedzieli tak się u nas zrosło z pojęciem „fiakow”, że niedziela bez nich nie byłaby niedzielą, a fiaki w dzień powszedni smakują zupełnie inaczej. Czyto inteligent, czy robotnik, przez cały tydzień cieszył się nadzieją niedzieli i fiaków. Cień i na nich oabliły się skutki wojny, a porcja, która lat temu kilka wstecz kosztowała szóstkę, dziś doszła ceny dziesięciu i więcej koron, spieszmy w niedzielę pan radca lub profesor na fiaczki do Hawelki lub „pod obraz”, pan Walenty lub Tomasz do Suskiego lub Kosza. Tu w gronie przyjaciół cmałwia się najważniejsze zarządzenia z całego tygodnia, opowiada o tem, co kogo gryzie, tam się załatwia najroznorodniejsze interesy.

Fiaki, aby wyszły na zdrowie, potrzebują dodatków, a tymi są: kieliszek wódeczki przed spożyciem, celem naorania apetytu, potem bomba piwa lub lampka wina, choćby nawet wyrobu krajowego.

Bez tych dodatków fiaki nie byłyby fiakami!

Niestety, Sejm nasz był innego zdania i uchwalił ustawę, na mocy której ograniczono, względnie zakazano sprzedaży alkoholu. W dniu powszednim wolno szynkować napoje wyskokowe, o ile nie zawierają więcej jak czterdziestą część procent alkoholu, w niedzielę i święta tylko dwa i pół!

Tradycja za jednym zamachem wzięła w łeb. Ustawa weszła w życie w pierwszy dzień Zielonych Świąt, nie też dziwnego, że fiaki „na sucho” nikomu nie smakowały.

Odnosna ustawa powiada, że niedziela liczy się od godziny trzeciej popołudniu dnia poprzedniego i trwa do północy, godzina dziesiąta rano, zakazuje też podawania trunków osobom, które im nie mogą wykazać, że ukończyły osiemnaście lat żywota.

Zatem, aby nie wejść w konflikt z przepisami, musi się każdy zmuszający się obywatel zaopatrzyć w zegarek, aby wiedział, kiedy trzecia godzina, a kiedy dziesiąta; musi stale nosić przy sobie metrykę, by się na żądanie mógł wykazać, że skończył lat osiemnaście i alkoholometr, celem zbadania, czy podany napój nie zawiera więcej jak czterdziestą część, ewentualnie dwa i pół procent czystego spirytusu. Choć o to ostatnie nie należy się obawiać. Nasi kupcy i szynkarze w tym kierunku szanują ustawę i stale dolewają więcej wody, niż potrzeba.

To jednak nie koniec jeszcze!... W najbliższej przy-

szłości grozi nam zupełne zamknięcie restauracji w niedzielę i święta, gospodarz powiada bowiem, że podawanie potraw bez możliwości sprzedawania alkoholu nie opłaca się zupełnie. Podobne narzekania słyszał kronikarz na własne uszy z własnych ust jednego z restauratorów, który dowodził, że do kuchni „dokłada”, a stratę pokrywa sprzedażą alkoholu „na ciem jeszcze można coś nie coś zarobić... Ponadto i ustawa o święcie niedzieli musi być ściśle stosowana, to jest, że w niedzielę i święta mają być restauracje, kawiarnie i t. d. przez cały dzień zamknięte.

Mia perspektywa zwłaszcza dla kawalerów, stołujących się w publicznych jadłodajniach. Pozostają im do wyboru dwie ewentualności: śmierć z głodu lub założenie własnego ogniska domowego i o to ostatnie prawdopodobnie rozchodziło się prawodawcy.

Jak tu jednak myśleć o czemś podobnym, gdy jest to w dzisiejszych czasach połączone z takimi wydatkami, na jakie nie każdy może sobie pozwolić. Co zresztą warte „ognisko” bez węgla, a przydział ich znowu ograniczono.

Takie więc na pozór drobniactwa, jak święcenie niedziel i ograniczenie sprzedaży alkoholu, przewróciły do góry nogami cały dotychczasowy porządek społeczny. Niedziela ma być dniem wypoczynku, ale niema gdzie wypocząć i przy czem, wybrało się raz w tygodniu na skromną rozrywkę w gronie przyjaciół nie było chyba grzechem. Nadużywanie alkoholu godnem jest napiętnowania, użyć go w miarę i tylko od czasu do czasu może być nawet korzystnem dla zdrowia, jak twierdzą powagi lekarskie zagraniczne i krajowe.

I oto powód, dlaczego kronikarz przez oba dni Zielonych Świąt siedział w domu. Fiaki w niedzielę bez „dodatków”, to nie fiaki, a niedziela bez fiaków, nie niedziela lecz zwykły dzień powszedni.

Czy państwo wyjdzie dobrze na tej ustawie?... Odpowiedź łatwa i krótka. Nie!... Handel i przemysł ucierpią na tem, odbić się to musi i na finansach tak całego kraju, jak gminy, które ze sprzedaży alkoholu ciągnęły zyski, pomniejszając różnego rodzaju opłaty.

Odnije się to i na kieszeni każdego osobnika, o ile bowiem wszelkie przedsiębiorstwa, jak restauracje, cukiernie, mieczarnie i t. p. będą w niedzielę i święta zamknięte, właściciel w dzień powszedni będzie się starał o nadrobienie tego, co utracił.

Nie też dziwnego, że przygotowuje się akcja ratunkowa. Tu i owdzie zaczynają się zastanawiać, czy niedziela nie dałaby się przenieść na inny dzień w tygodniu, jeśli zaś nie, czy nie dadzą się zlagodzić te prawdziwie drakońskie przepisy.

Na razie, jak rzeczy stoją, co tydzień w sobotę, punktualnie o godzinie trzeciej odpędzane się uroczyste potęgowanie alkoholu, w poniedziałek zaś o dziesiątej rano również uroczyste powitanie, niedziela straci swój dawny urok.

Jeżeli do tego dołączy się jeszcze zamykanie w dni świąteczne wszelkich lokali publicznych, nie pozostanie nic innego, jak postaranie się o zniesienie wogóle niedziel i świąt. Bo i co komu z niedziel, skoro nie będzie mogli użyć żadnej przyjemności. Nawet o ile zadowoliliby się samym spacerem, dozna przykrości, nie mogąc ugasić pragnienia szklanką niewinnej wody sodowej, gdyż nawet budki z nią zamknięte. W drugim wypadku chyba pospieszy do domu, aby się napić wody z wodociągu, ale i tu spotka go przykre rozczarowanie. Wodociąg nawet w dniu powszednim świętuje prawie cały dzień, zastępując tymczasem aryston (ale bez osobnej, przynajmniej na razie, dopłaty...). Gdyż nie kapie, dmucha, stęka, kicha, uprzyjemniając bodaj w ten sposób samotnikowi pobyt w czterech ścianach.

Gdyby nie to, że papier taki drogi, a drogie również wszelkie inne utensylla, niezbędne do pisania, zabraliby się kronikarz do redagowania pamiętników, aby potym nie wiedział z jakimś nam przyszło walczyć trudnościami i to wtedy, gdy się już skończyła wojna, którą prowadzono tylko w tym celu, aby poprawić stosunki przedtem nie do zniesienia. Czytający z pewnością uroniliby niejedną łzę i zapytał się sam siebie:

— Ciekawy jestem jednak, poco oni właściwie tę wojnę prowadzili?...

Takie samo pytanie zadaje sobie nieraz i kronikarz, tę kwestję rozstrząsano też niejednokrotnie w niedzielę przy fiakach, odpowiedzieć nikt nie potrafił i zapewne już nigdy nie odpowie, skoro dyskusye „fiakowe” należą tylko do wspomnień z dawnych, stanowczo lepszych czasów.

